

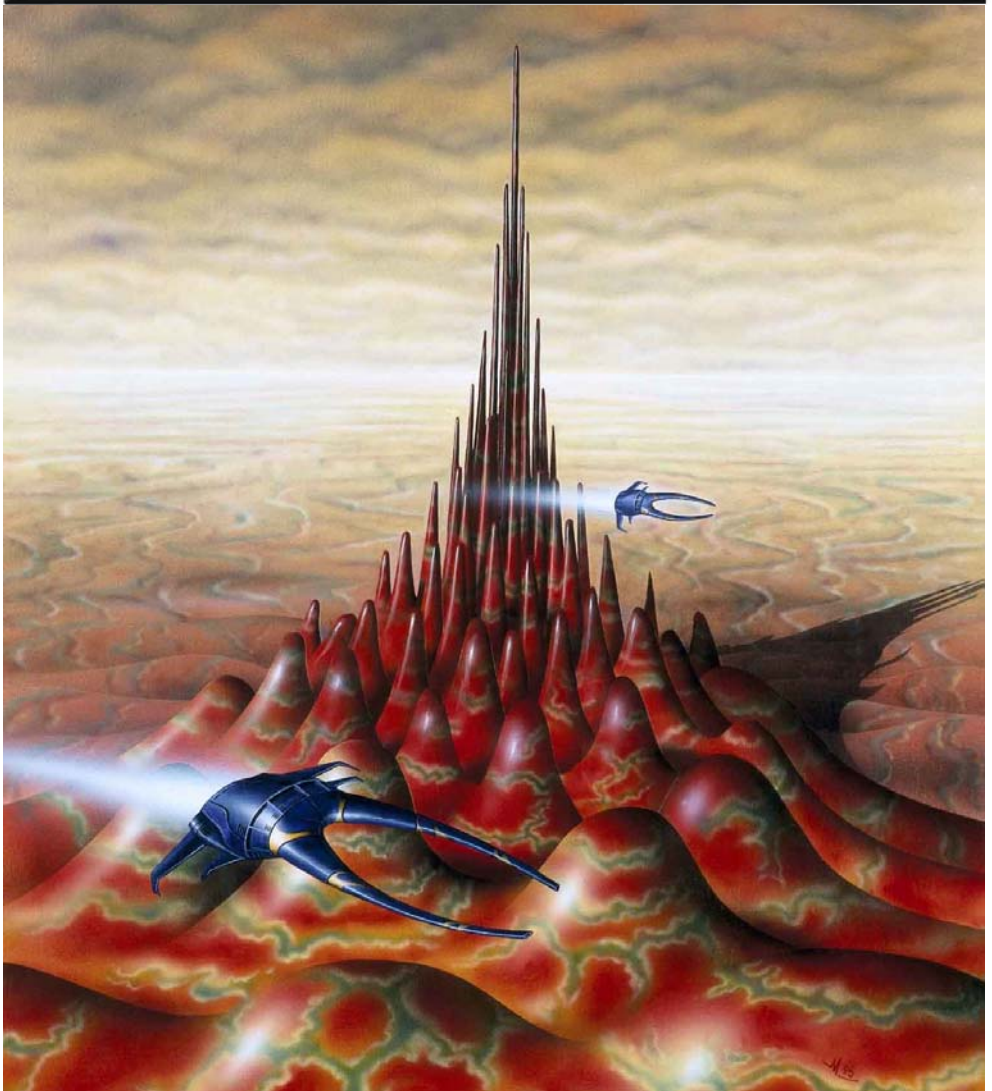
informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 218
maj 2007



O TYM NIE PRZECZYTAĆ W „KOMIKSIE - CZERWONYM KARLE” #4

Maj. Czas matur. Czas wspomnień. Od mojego „egzaminu dojrzałości” minęło już prawie trzydzieści lat (a gdybym kończył nie pięcioletnie liceum, ale czteroletni ogólniak – byłoby to wręcz prawie-prawie). I ta konstatacja, połączona z czwartym wydaniem „Wampiurów”, poruszyła we mnie wspominki, którymi dziś chcę się z Wami podzielić.

Już przed laty napomknąłem enigmatycznie w „powampiurzu”, iż postać Marcinka „stworzyłem jeszcze w liceum plastycznym, do spółki z Markiem Górnisiewiczem”. Teraz warto chyba napisać nieco więcej o tym antybohaterze komiksowym...

Na początku trzeciej klasy przyszedł do nas nowy kolega. Przeniósł się z liceum plastycznego w Olsztynie. Gdy go zresztą po jakimś czasie spytaliśmy o porównanie liceum olsztyńskiego z orłowskim - odrzekł zdecydowanie: „Wolę tutaj. Bo tam miałem całkiem przeje...bane, a tu jeszcze nie całkiem”. Chodziło o jego różne ekscentryczne pomysły – niezbyt miłe widziane przez tzw. ciało pedagogiczne (np. swoją legitymację szkolną wkleił w okładkę po jakiejś starej legitymacji partyjnej – cud, że nie wylano go z budy z taką profanacją PZPR!). Tak w ogóle to był fajny i lubiany – choć potrafił być też wkurzający. Szybko zyskał ksywę będącą fonetyczną przeróbką nazwiska. Brzmiała ona – Marcinek.

W tym samym czasie leciał w TVP serial telewizyjny o Leonardzie da Vinci. Nasz inny kolega z klasy, świetny rysownik i jeszcze większy oryginał, Marek Górnisiewicz (notabene jego nekrolog zamieściłem przed rokiem w „Informatorze”), zwrócił uwagę na scenę, w której Leonardo gania po Rzymie i portretuje różne patologiczne indywidua. Gadka na ten temat jakoś się nam obu rozkręciła – i zaowocowała minikomiksem „Skąd wziął się uśmiech na twarzy Mony Lisy”. W pierwszym kadrze Leonardo maluje portret Mony Lisy. Dostrzega idącego ulicą opoja Marcinka (karykatura kolegi, oczywiście!). Przeprasza na chwilę swą modelkę – i pędzi za nim mrużąc pod nosem „Wielu widziałem – ale takiego jeszcze nie”. Przywleka go swej do pracowni i portretuje. Macinek mamrocze: „Ale nie wypijesz mojego piwa?”, a Leonardo myśli: „Mona Lisa nie powinna głupio się uśmiechać!”.

Potem poszły następne kawałki. Leonardo czekający na Marcinka pod szkołą (charakterystyczny profil w oknie, Mistrz ostrzący ołówki), etc. Szybko te dwie postacie (Marcinek i Leonardo) zaczęły żyć swoim własnym życiem, nie mającym już nic wspólnego ze swymi pierwowzorami (np. Macinek wśród Indian: „Niech mój patologiczny brat ucieka! Wielka Głowa znowu go dopadł”). Acz zdobywaną w szkole wiedzę też nader szybko transponowaliśmy na kolejne gagi (np. po lekcji biologii nt. roli grasy w organizmie powstały takie oto dwa kadry: Leonardo w stroju chirurga, przed nim klęczy Marcinek i błaga „Leonardo, nie wycinaj mi tej grasy!”; Leonardo odchodzi z lancetem i zawiniątkiem, a na stole operacyjnym Marcinek rozpywa się w bezkształtną masę).

Tej fabularnej autonomii fikcyjnego Marcinka nie mogła / nie chciała pojąć tylko jedna osoba: Marcinek rzeczywisty. Ponieważ wszyscy bylibyśmy od niedawna pełnoletni – odgrażał się nawet pozwaniem nas do sądu (co oczywiście natychmiast zaowocowało serią minikomiksów z procesującymi się Marcinkiem i Leonardem).

Nasze dowcipy zresztą stawały się coraz bardziej abstrakcyjne (Leonardo do Marcinka: „Pięś! Masz to na gbie namalowane, a ja na obrazie!” – czyli: Leonardo najpierw maluje, a potem dopiero widzi, co namalował...). Były absurdalne, były mocne – ale zawsze były śmieszne! Przez chwilę próbował do nas dołączyć jeszcze trzeci kolega; świetny rysownik, ale jego propozycje były li tylko wulgarne (notabene obecnie jest... księdzem).

Marka i moje rysunki zgromadziliśmy w jednym ogromnym zeszycie. Nieco później, za studenckich już czasów, niezłe się nad nimi uśmiali i Aneta Szytak, i Jerzy Szytak, i Andrzej Habasiński. Po śmierci Górnisiewicza zeszyt ów pewnie przepadł bezpowrotnie...

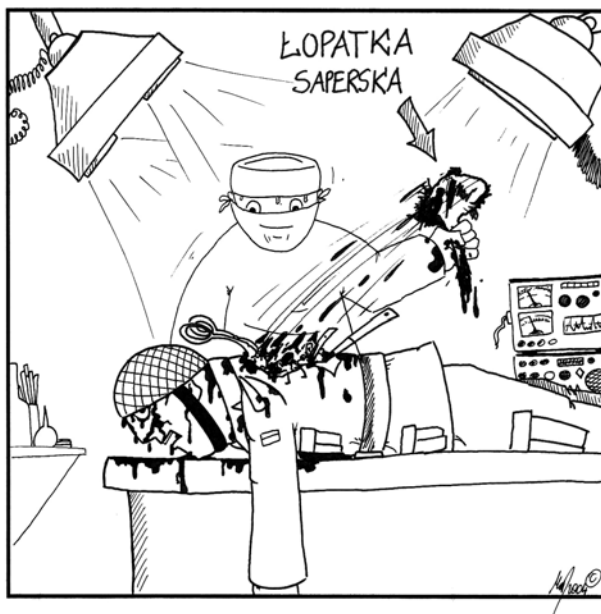
Gdy zatem zacząłem rysować „Wampiury” – nie mogło w nich zabraknąć Opoja Marcinka (aciz tu został on niespodziewanie zdezonizowany przez Zbója Madeja).

URODZINY

Kochani lipcowi Jubilaci!
Nie zapomnijcie zabrać na tegoroczny
Piknik w Cerkiewniku
Łopatkki saperskiej!

Redakcja

- 2 Krzysztof Papierkowski
- 4 Joanna Szczepańska
- 8 Michał Kozina
- 10 Anna Papierkowska
- 13 Aleksandra Papierkowska
- 14 Tomasz Hoga
- 16 Paweł Jaliński
- 20 Mariusz Pawlicki
- 23 Wojciech Szczepanek
- 29 Agata Kozłowska
- 31 Anna Kwiatkowska



MAJOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF (robocze)

Odbyło się 9 maja 2007 r. Ważniejsze z poruszanych spraw:

I. Sprawy organizacyjne

1. Postanowiono rozwiązać EKF „Fremen” jako Klub Sprzymierzony GKF. Członkowie Klubu mogą przejść do innego klubu GKF, bez obowiązku uiszczenia kary za opóźnienie w opłaceniu składki (do końca czerwca 2007 r.).
2. Ustalono cenę detaliczną i hurtową komiksu „Wampiors Wars”.

II. Sprawy personalne

1. Przyjęcie członków do GKF: Michał Miszczyszyn (Angmar), Robert Herczyński (KCzK).
2. Urlopy: Łukasz Piwek (Mirror) II-IV kw 2007 r.
3. Skreślenie z listy członków GKF:

KCzK – Małgorzata Frankowska, Łukasz Kulesza, Jakub Czerwiński, Ryszard Żal, Marek Dąbrowski, Andrzej Sawicki

Abyna – Paweł Arczewski, Katarzyna Arczewska, Łukasz Jachowicz
były Fremen – Jacek Wronkowski, Małgorzata Janiszewska

4. Przeniesienia z rozwiązanego „Fremena”:

Adam Jakubowski do Angmaru, Marcin Grygiel i Marcin Rutkowski do KCzK

Pokłonie AKCJI 1%

W imieniu społeczności Gdańskiego Klubu Fantastyki serdecznie dziękuję niżej wymienionym sympatykom i członkom GKF. Dzięki Waszej pomocy mogliśmy rozwinąć zakupy książek do biblioteki oraz gier do Działów Gier.

Adam „Ceti” Cetnerowski
prezes

Grzegorz Andrelczyk
Rafał Tomasz Dintar
Krzysztof Gewalt
Monika i Sławomir Ginterowie
Irena i Bogusław Gwozdecky
Jarosław Gwozdecki
Tomasz Hoga
Bohdan Kałużny
Elżbieta i Robert Kotlarkowie
Agata Kozłowska
Urszula i Andrzej Lisowscy
Piotr Mazurowski
Anna i Krzysztof Papierkowscy
Paweł Papierkowski

Krzysztof Pezena
Janusz Piszczek
Joanna i Piotr Rozenfeldowie
Witold Siekierzyński
Arkadiusz i Małgorzata Stankiewiczowie
Karol Paweł Szklarski
Marcin Szklarski
Miroslaw Szklarski
Monika Bogusława Szulc
Andrzej Targański
Marcin Targański
Marcin Waśkiewicz
Władysław Wojtkiewicz
Piotr Wyszomirski

O grozie w Chorzowie

Na Seminarium Literackie Śląskiego Klubu Fantastyki pojechałem po raz drugi. Wprawdzie odwiedziłem imprezę już w zeszłym roku, jednak przyjechałem jednego dnia wieczorem i wyjechałem następnego dnia rano; byłem na niej tak krótko, że trudno mój pobyt nazwać uczestnictwem. Inaczej miało być w tym roku, tym razem mogłem zostać do samego końca.

Wyjazd do Katowic zacząłem od rozejrzenia się nad sensownym noclegiem w nocy z czwartku na piątek – chciałem dotrzeć na otwarcie konwentu wypoczęty, zamiast po dziesięciu godzinach tłuczenia się pociągiem. Ponieważ nie znalazłem żadnego taniego noclegu na Śląsku, zarezerwowałem za śmieszne pieniądze nocleg w schronisku w Krakowie. Dotarłem do grodu Kraka w czwartek wieczorem, poszedłem pod sukienicę na koncert Ennio Morricone, wypilem piwo, przeciskając się przez straszliwy tłum, i świetnie się bawiłem. W piątek rano przeszedłem się jeszcze po starówce i dotarłem na Wawel, ale ze względu na brak czasu nie zwiedzałem zamku. Poprzestałem tylko na przekazaniu smokowi wawelskiemu pozdrowień od GKF-u.

Po dwugodzinnej podróży straszliwie rozgrzanym pociągiem dotarłem do Katowic i jak po sznurku trafiłem na właściwy przystanek tramwajowy w pobliżu imprezy. Niestety pomyliła mi się droga z przystanku, w związku z czym dotarłem do hotelu po zrobieniu ogromnego koła. Na szczęście w okolicy trudno nie zauważyć Stadionu Śląskiego, koło którego odbywał się konwent, więc trafiłem, kierując się na azymut.

Zaraz na wstępie zostałem poinformowany o nominowaniu Bogusia i Papiera do Śląkfy. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo spodziewałem się raczej Złotego Meteora za kilka niepotrzebnych sporów z zeszłego roku. Po długiej serii powitań mogłem zajrzeć do informatora i z zaciekawieniem przeczytałem uzasadnienie nominacji, w którym wymieniona została organizacja Nordconów. Nominację dostała też Kasia Kaczor, której GKF wydał pracę „Od Draculi do Lestata”.

Tegoroczne Seminarium dotyczyło literatury i filmu grozy. W piątek odbyły się tylko dwie prelekcje, o motywach biblijnych u Stephena Kinga i o biologicznym podłożu strachu przy odbiorze horrorów.

Potem nastąpiło wręczenie Śląkf. Dopiero wtedy (nie zdążyłem na otwarcie) dowiedziałem się o zmianie władz ŚKF. Nowa prezes, Ola Rudzińska, wręczyła nagrody dla twórcy, fana i wydawcy roku. Najlepszym wydawcą został wybrany Andrzej Miskurka z MAGa, twórcą Maja Kossakowska, a fanem Jarosław Florczak z Bielawy.

W tym momencie sądziłem, że nagrody dla Gdańska nie będzie – w informatorze nominacja dla Papiera i Bogusia była w kategorii fana roku. Jakie było moje zaskoczenie, gdy okazało się, że Śląkfa dla obu została jednak przewidziana, i to trzecia w historii Złota – za szczególne zasługi dla fandomu. Kiedy wyszedłem odebrać nagrodę, podziękowałem i nie byłem w stanie powiedzieć niczego szczególnie inteligentnego. Z kłopotu wybawiła mnie osoba, która zadzwoniła do Bogusia i przekazała jego słowa.

Następnego dnia impreza przeniosła się z Chorzowa (w którym znajduje się hotel Skaut) do domu kultury po drugiej stronie granicy z Katowicami. Było sporo ciekawych wystąpień. Krzysztof Grzywnowicz kontynuował wątek fizjologicznych i biologicznych podstaw odbioru horroru. Były wystąpienia o filmie „Rocky Horror Picture Show”, „Carrie” według Kinga i „Labiryncie Fauna”. Potem ja mówiłem o serbskiej książce, Mikołaj Wachowicz o elementach grozy w literaturze starożytnej, a Anna Adamczyk (bardzo ciekawie i kompetentnie) o magii słowa u Tolkiena i nie tylko.

Wieczorem wszyscy udali się za hotel, gdzie zostało zorganizowane ognisko. Były pokazy tańców dawnych, strzelanie z łuku (nauczyłem się trafić w okolice tarczy), sporo przyjemnej muzyki, kiełbaski pieczone nad ogniem i świetna atmosfera. Sporo rozmawiałem m.in. z Pawłem Potakowskim, Trashką, Piotrkim Staniewskim i z PeWuCem. „Nocne Polaków rozmowy” trwały prawie do rana.

W niedzielę rano odbyły się ostanie prelekcje. Rano Tredo mówił o grozie w systemie „World of Darkness”, a Marcin Przybytek wyjątkowo ciekawie o archetypie Cienia Junga. Paweł Ziemkiewicz przedstawił przykłady filmowych potworów, w tym fenomenalny fragment japońskiego serialu „Zetton Fighter” (polecam). Kiedy rozpoczął się panel o adaptacjach literatury grozy, musiałem wyjść, żeby nie spóźnić się na pociąg.

Tak skończył się dla mnie konwent. Epilog miał miejsce w potwornie zapchanym pociągu relacji Katowice – Warszawa – Gdańsk, w którym siedziałem na korytarzu, umilając sobie czas rozmową z Michałem Studniarkiem i pilnując schowanej w torbie, potwornie ciężkiej statuetki Złotej Śląkfy. Ale to już inna historia.

Tegoroczne Seminarium (bardziej chorzowskie niż katowickie) było udane. Byli, jak to zwykle na konwentach, ciekawi i fajni ludzie. W ciągu trzech dni odpocząłem od codziennej harówki. Było kameralnie, ale bardzo przyjemnie. Jeśli tylko będę miał taką możliwość, na imprezie pojawię się również za rok.

Marcin Szklarski

NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

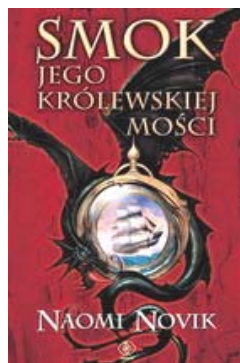
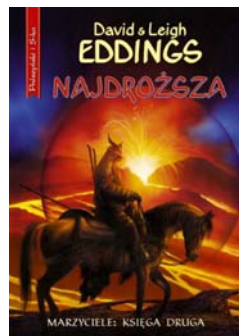
zakup marzec - maj 2007

Antologia

Bakker R. Scott
 Bułyczow Kir
 Card Orson Scott
 Dębski Eugeniusz
 Diwow Oleg
 Diwow Oleg
 Drake David
 Duszyński Tomasz
 Eddings David i Leigh
 Egan Greg
 Gaiman Neil
 Grykowski Bartosz
 King Stephen
 King William
 King William
 King William
 Knaak Richard A.
 Kossakowska Maja Lidia
 Lowder James
 Lumley Brian
 Łukjanienko Siergiej
 Martin George R. R.
 Novik Naomi
 Novotný František
 Novotný František
 Oldi Henry Lion
 Oldi Henry Lion
 Pilipiuk Andrzej
 Piskorski Krzysztof

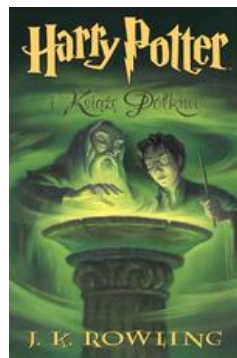
Elektryzujące opowiesci

Książka Nicości 3. Myśl Tysiąckrotna
 Tajemnica Orułganu
 Cień olbrzyma
 Furtka do ogrodu wspomnień
 Najlepsza załoga Słonecznego t 1
 Najlepsza załoga Słonecznego t 2
 Porucznik Leary dowodzi
 Produkt uboczny
 Najdroższa
 Miasto permutacji
 M jak Magia
 Pięty anioł
 Komórka
 Anioły śmierci
 Zabójca gigantów
 Zabójca wampirów
 Studnia Wieczności
 Więzy krwi
 Forgotten Realms. Książę Kłamstw
 Nekroskop 13. Obrońcy
 Patrol Zmroku
 Retrospektywa
 Smok Jego Królewskiej Mości
 Długi dzień Walhalli
 Długi dzień Walhalli t 2
 Droga miecza
 Otchłań głodnych oczu
 Czerwona gorączka
 Opowieść piasków t 3. Prorok



Rabe Jean
 Reynolds Alastair
 Reynolda Alastair
 Rice Anne
 Rowling J. K.
 Siemionowa Maria
 Stackpole Michael A.
 Tolkien J.R.R.
 Twardoch Szczepan
 Weber David
 Wójtowicz Milena
 Zahn Timothy
 Žamboch Miroslav

Dragon Lance. Dzień burzy
 Arka Odkupienia t 1. Zdrada
 Arka Odkupienia t 2. Pościg
 Krwawy kantyq
 Harry Potter i księżę półkrwi
 Wilczarz
 Kartomancja 2. Epoka wielkich odkryć
 Dzieci Hurina
 Sternberg
 Dahak t 2. Dziedzictwo zniszczenia
 Załatwiaczka
 Nocny pociąg do Rigel
 Na ostrzu noża t 2

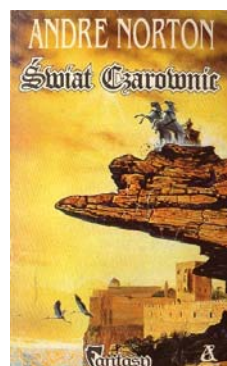
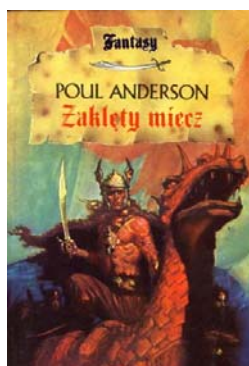
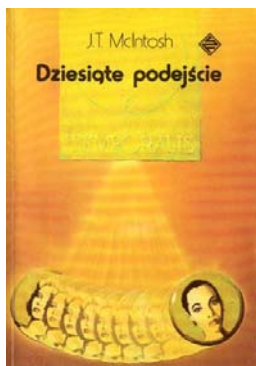
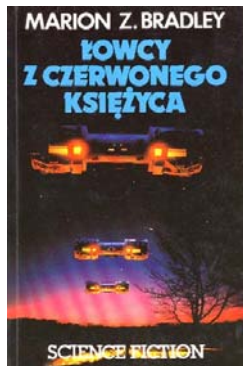


darowizny marzec - maj 2007

(uzupełnienia oraz wymiana zagubionych bądź skradzionych pozycji)

Anderson Poul
 Bok Hannes
 Bradley Zimmer Marion
 Dick Philip K.
 Graynor Barbie Gill
 Leiber Fritz
 Łukianienko Siergiej
 Markowski Tadeusz
 Markowski Tadeusz
 McIntosh J.T.
 McIntyre Vonda
 Mortka Marcin
 Norton Andre
 Orłowski Władysław
 Orłowski Witold Maciej
 Williams Tad
 Wylie Jonathan
 Żemajtis Sergiusz

Zakłęty miecz
 Statek czarnoksiężnika
 Łowcy z Czerwonego Księżyca
 Labirynt śmierci
 Ostatnia wojna światów
 Miecze i ciemne siły
 Imperatorzy iluzji
 Mutanci
 Umrzeć by nie zginąć
 Dziesiąte podejście
 Opiekun snu
 Ostatnia saga
 Świat czarownic
 Tajna misja Hipoteusza Gripy i gadatliwego psa Artakserksesa
 Czas Kalibana
 Słudzy Arki 1. Pierwszy Nazwany
 Pływająca wyspa



NIUSY



ZŁOTA ŚLAFKA DLA BOGUSIA I PAPIERA

Śląski Klub Fantastyki przyznał trzecią w historii Złotą Ślankę Bogusławowi Gwozdeckiemu i Krzysztofowi Papierkowskiemu. Wyróżnienie zostało przyznane w dwudziestolecie istnienia Gdańskiego Klubu Fantastyki, za organizację Nordconów. Nagroda została wręczona podczas Seminarium Literackiego w Chorzowie.

Redakcja przyłącza się do gratulacji dla obu laureatów.

PPJ, MiSz, MaSz

ŚLANKY PRYZNANE

Innymi laureatami Ślank za rok 2006 zostali w kategoriach:

Twórca Roku - Maja Lidia Kossakowska;
Fan Roku - Jarosław "Elek" Florczak (Bielawa);
Wydawca Roku - Andrzej Miskurka (MAG).

MJS

„OPowieści z ZIEMIOMORZA” W POLSKICH KINACH

Na ekrany polskich kin wszedł japoński film animowany „Opowieści z Ziemiomorza”, stworzony na podstawie cyklu Ursuli LeGuin. „Opowieści...” wyreżyserował Moro Miyazaki. Film jest chwalony za walory plastyczne i wierność wobec przestania oryginału.



MJS

„ALEJA KOMIKSU” – ZMIANA ADRESU W SIECI

Po wygaśnięciu starej domeny (www.aleja-komiksu.pl) – autorzy zapraszają na nową: www.komiks.nast.pl.

jpp

WAMPIURZE ECHA

Informacja o wznowieniu przez GKF undergroundowych „Wampiurs Wars” wywołała w komiksowym światku również negatywne emocje:
<http://komiks.nast.pl/4393//>

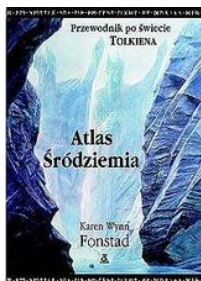
pak

O NAS NA PÓŁNOCNO-ZACHODNIM KRAŃCU GAŃSKIEJ AGLOMERACJI

W pierwszym majowym numerze bezpłatnego dwutygodnika „Express Powiatu Wejherowskiego” ukazał się artykuł PiPiDżeja o Gdańskim Klubie Fantastyki – uzupełniony wypowiedzią Cetiego oraz adresem internetowym i logiem GKF.

Może chociaż kilkanaście egzemplarzy z pięcioletniego nakładu gazety trafi we właściwe ręce – i w największym powiecie ziemskim województwa powstanie jakiś lokalny klub fantastyki (albo przynajmniej istniejące już giekaefowskie kluby zyskają paru nowych członków z Wejherowa, Rumi, Redy i okolicznych miejscowości)...

red.



Z MAPĄ DO ŚRÓDZIEMIA

Wydawnictwo Amber przygotowało na wakacje **Atlas Śródziemia**, autorstwa Karen Fonstad. Jeśli ktoś nie wybiera się na dalekie letnie wojaże, a pasjonuje się twórczością J.R.R. Tolkiena, ma możliwość przesledzenia dokładnych tras wędrówek bohaterów Władcy Pierścieni, Hobbita, czy Silmarilionu. Osoby odbarzone dużą wyobraźnią będą bawić się przy tym nie gorzej, niż podczas prawdziwych wycieczek.

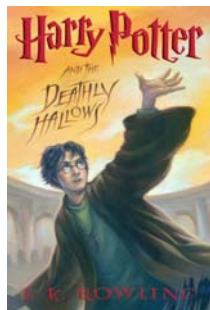
Arek Napierkowski (www.gildia.pl)

MIŚ USZATEK PODBIJA JAPONIĘ

Słynna wieczorynka o przygodach Misia Uszatka robi furorę w japońskiej telewizji. Producenci ze studia Eden Entertainment zainteresowani są współpracą ze studiem SeMaFor przy realizacji nowych odcinków serialu, a nawet produkcją filmu kinowego – donosi portal dziennik.pl. Dla *Oyasumi Kumachan*, co znaczy "Dobranoc, mały misiu", dystrybutor stworzył specjalną stronę internetową: oyasumi-kumachan.com.



Deckard (www.gildia.pl)



POTTER NADCHODZI (PO RAZ OSTATNI)

Szybкими krokami zbliża się premiera książki „Harry Potter and the Deathly Hallows”, ostatniej części cyklu Joanne Rowling. Na całym świecie anglojęzyczną wersję książki będzie można kupić od północy w nocy z 20 na 21 lipca.

MJS

ŚWIEŻA KREW POSZUKIWANA!

Jeśli, Drogi Czytelniku, nie przeszkadza Ci fakt, iż tak dużo można w "Informatorze" przeczytać o klasyce, a tak (stosunkowo) niewiele o najnowszych utworach i wydarzeniach z fantastyką związanych - to fajnie...

Ale jeżeli wolałbyś widzieć tu inne proporcje - postaraj się i Ty do tego przyczynić: byłeś na jakim filmie, przeczytałeś jakąś książkę, rozegrałeś jakąś grę, odwiedziłeś jakiś konwent - masz oto niepowtarzalną & nieustającą okazję podzielić się swoimi refleksjami na naszych łamach!

Redakcja "INFO"



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

czerwiec (uzupełnienie) i lipiec 2007

ZDRADA (BETRAYAL) – AARON ALLSTON

Wydawca: Amber

KSIĄŻĘ CZWARTEK (SIR THURSDAY) – GARTH NIX

Wydawca: Wydawnictwo Literackie

DRUGIE POKOLENIE (THE SECOND GENERATION) – MARGARET WEIS, TRACY HICKMAN

Wydawca: **Zysk i S-ka**

NIEDOKOŃCZONE OPowieści (UNFINISHED TALES OF NÚMENOR AND MIDDLE-EARTH) – JOHN R.R. TOLKIEN

Wydawca: Amber. Oprawa twarda, wznowienie

W POGONI ZA SMOKIEM (DRAGONQUEST) – ANNE McCAFFREY

Wydawca: Książnica. Wznowienie

WITAJ, AMERYKO (HELLO AMERICA) – J.G. BALLARD

Wydawca: Książnica. Wznowienie

DIAMENTOWY WIEK (THE DIAMOND AGE) – NEAL STEPHENSON

Wydawca: ISA. Oprawa twarda, wznowienie

TYRANIA NOCY – GLEN COOK

Wydawca: Rebis. Pierwszy tom nowego cyklu G.Cooka

ŚWIAT BEZ CZASU – KIR BUŁYCZOW

Wydawca: **Solaris**

NOCNY PATROL (НОЧНОЙ ДОЗОР) – SIERGIEJ ŁUKIANIENKO

Wydawca: MAG. Wznowienie

YSABEL (YSABEL) – GUY GAVRIEL KAY

Wydawca: MAG

MIECZ LIKTORA (THE SWORD OF THE LICTOR) – GENE WOLFE

Wydawca: Książnica. Wznowienie

REAPER'S GATE 1 – STEVEN ERIKSON

Wydawca: MAG

WYDZIEDZICZENI (THE DISPOSSESSED) – URSULA K. LE GUIN

Wydawca: Książnica. Wznowienie

BOHATEROWIE SFER – J. ROBERT KING

Wydawca: ISA

PAN LODOWEGO OGRODU 2 – JAROSŁAW GRZĘDOWICZ

Wydawca: Fabryka słów

MANDALA – ALEKSANDRA JANUSZ

Wydawca: Runa

CZARNA MSZA – ALMANACH ROSYJSKIEJ FANTASTYKI TOM 2

Wydawca: Fabryka słów

KRUCJATA TOM 1 – EUGENIUSZ DĘBSKI

Wydawca: Fabryka słów

NAGI BÓG – WYPRAWA – PETER F. HAMILTON

Wydawca: Zysk

13 ANIOŁ – ANNA KAŃTOCH

Wydawca: Fabryka słów

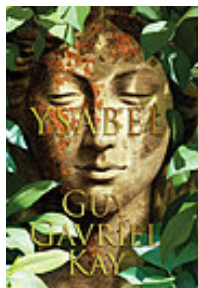
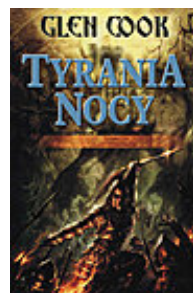
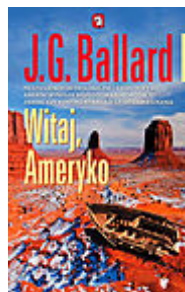
MOST NAD OTCHŁANIĄ – KONRAD T. LEWANDOWSKI

Wydawca: Fantasmagoricon

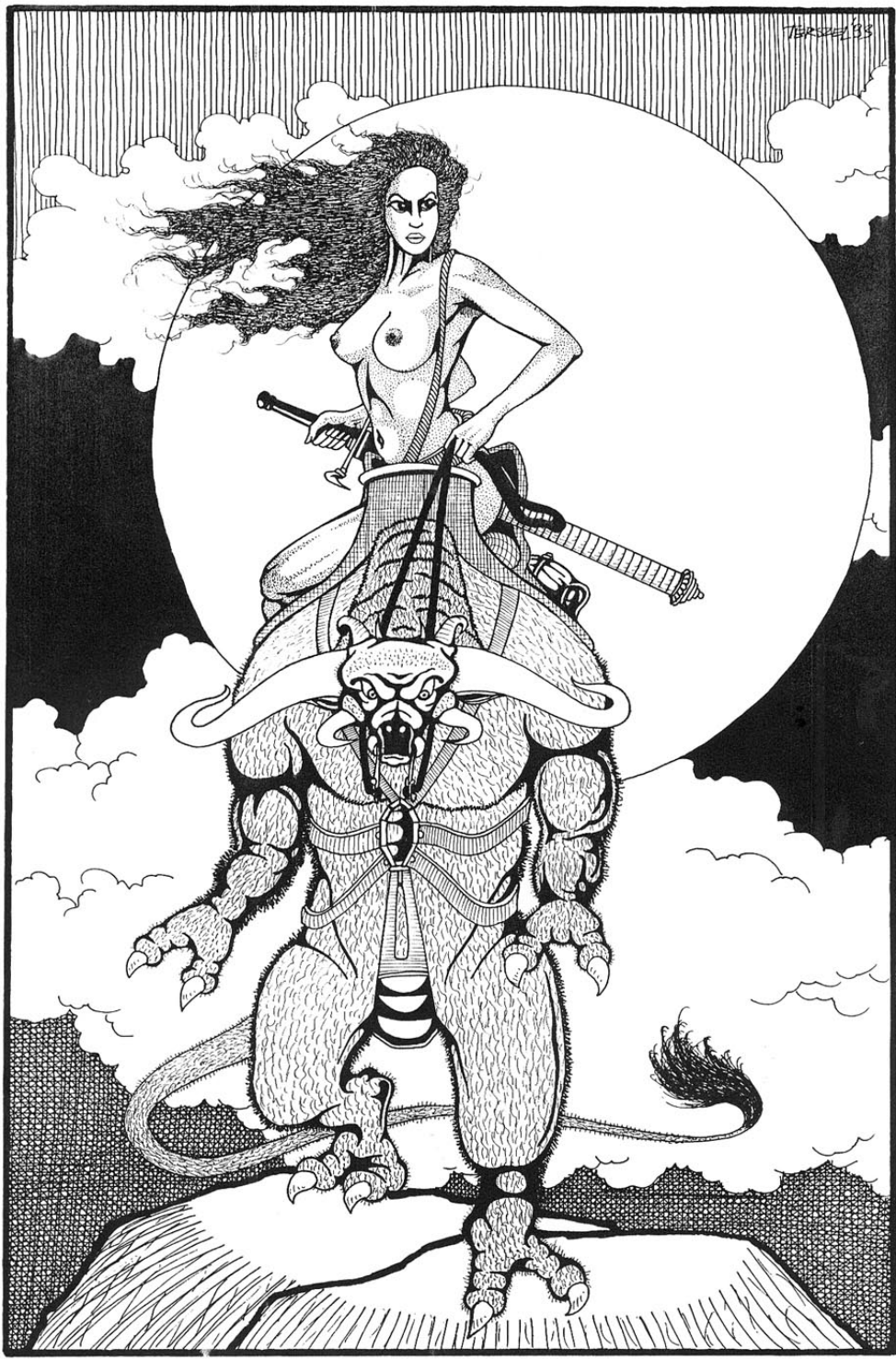
OBIETNICA KRÓLA-CZARNOKSIĘŻNIKA – R.A. SALVATORE

Wydawca: ISA

Na podstawie serwisów www.esensja.pl, www.katedra.nast.pl i www.solarisnet.pl przygotował



TEPESZ 2003



Jaka piękna katastrofa...

Gdyby to nie było zwykle kłamstwo, chciałoby się napisać - jaka piękna katastrofa! Zamiast tego, bardziej ciśnie się na usta - Quo vadis, Panie Sapkowski? Bo tak kiepskiej książki spod pióra - Quo vadis, AS-a, jeszcze nie było. Skłamałbym pisząc, że na **"Lux perpetua"** nie czekałem, choć z drugiej strony nie była to najważniejsza rzecz w moim czytelniczym życiu, a dwa lata od poprzedniej odsłony przygód imć Reynevana, upłynęły pod znakiem wystarczającej liczby zajmujących książek. A jednak przystępowałem do lektury ostatniej części trylogii z dużymi nadziejami. Płonnymi, jak się właśnie okazało.

Podstawowe pytanie brzmi - o czym jest ta książka? A podstawowy problem z odpowiedzią polega na tym, że o niczym. I to jest najsmutniejsze, bo Sapkowskiemu uważałem za znakomitego pisarza, umiejącego konstruować zarówno świetnie postacie, jak i ciekawą fabułę, posługującego się przy tym mistrzowską polszczyzną. Tymczasem po ukończeniu lektury uważam, że poza wciąż wysmienitym językiem, reszta zniknęła *jak sen jaki złoty*.

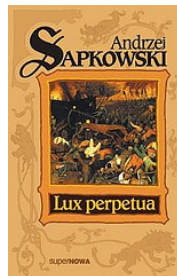
Nie mogę napisać, że wielbię Sapkowskiego za pięcioksiąg wiedźmiński, bo przeczytałem go raz i choć mi się podobał, nawet bardzo, to nie była to najlepsza rzecz pod słońcem. Podobnie z otwierającym nową trylogię **"Narrenturm"**, które do gustu mi przypadło, a nawet skłonny byłem je uznać za lepsze niż pięć tomów sagi o wiedźminie. Z **"Bożymi wojownikami"** było już trochę gorzej, ale naprawdę nic mnie nie przygotowało na szok w postaci **"Lux perpetua"**.

Nie zamierzam atakować Sapkowskiego za główny leitmotiv trylogii, czyli nieustanne popadanie Reynevana i chyba również przypadkowe ratowanie się z kłopotów, bo to było skutkiem pewnej przyjętej przez autora koncepcji na całą historię. Ale tego, że czytając dwa pierwsze tomy można było mieć nadzieję i wiarę w to, że do czegoś sensownego to prowadzi, wiarę która w zwińczeniu całości jest brutalnie niszczone, tego mu nie wybaczę. Fabuła w **"Lux perpetua"** jest całkowicie bezsensowna, a dodatkowo jest dobijana przez nieprawdopodobną wręcz, jak na pisarza tej klasy, liczbę idiotycznych zagrywek ze strony postaci pierwszo- i drugoplanowych. A przede wszystkim przez głównego sprawcę tego chaosu, czyli samego Sapkowskiego.

Bzdura na bzdurze i bzdurą pogania. Fabularne i charakterologiczne braki logiki są tak wyraźne, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem Sapkowski nie znalazł sobie kilku "murzynów" do odwalenia za niego pracy. Odniosłem wrażenie, że niektóre fragmenty pisane były jakby z minimalną znajomością poprzednich, bo wolty i absurdy wykonywane przez bohaterów aż biją po oczach. No ale to wszystko wina autora, który najwyraźniej nie miał najmniejszego pojęcia jak zakończyć kilka wątków, z podstawowym na czele. Szczytem nieudolności jest wątek Pomurnika, który do tej pory przykuwał uwagę czytelnika swoją tajemniczością. W ostatnim tomie Sapkowski go niszczy, może nie tyle fizycznie, co odzierając go z jakiegokolwiek tajemnicy i robi to w tak okropny sposób, że aż zęby bołą. Kilka innych postaci wprowadzane jest w dość dziwnych miejscach, a sens tej operacji jest dla mnie zagadką. Już w **"Bożych wojownikach"** Sapkowski powoli rezygnował z dwóch najciekawszych postaci, czyli Szarleja i Samsona, a w **"Lux perpetua"** daje im w zasadzie jedynie epizodyczne role. A szkoda, bo według mnie zaciążyło to na całości. Dodać do tego należy jeszcze karykaturalny wręcz pomysł na uśmiercenie jednej postaci i katastrofalny błąd konstrukcyjny, czyli zakończenie powieści pewnie ze sto stron przed ostatnim zdaniem - oto jest obraz **"Światłości wiekiuistej"**. Obraz nędzy i rozpaczy.

I nawet jeśli posługuje się doskonałą polszczyzną, to zapomniał jak się ją wykorzystuje do tworzenia błyskotliwych dialogów, do których przyzwyczaił, a desperackie momentami wysiłki na stworzenie dowcipów, stają się żałosne.

Parafrazując często-gęsto cytowanego przez AS-a Dantego, można tylko napisać: porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy chcecie sięgnąć po **"Lux perpetua"**. Gdzie jesteście, Panie Sapkowski?



Maciej Majewski
www.maciejmajewski.pl

Sapkowski Andrzej *Lux perpetua*. Wyd.: SuperNowa. 594 stron.

Tytuł od redakcji

Lekkie przyjemności

Kilka dni temu z niesmakiem wyraziłem swoją opinię o przedkładaniu Pilipiuka nad Brzezińską i zostało to odebrane jako atak na czytanie prostych książek wyłącznie w celu dostarczenia wytchnienia mózgowi. Tymczasem chodziło mi jedynie o to, że Pilipiuk to po prostu kiepski autor, zaś samo czytanie lekkich i przyjemnych książek nie jest niczym złym. Od czasu do czasu oczywiście. Czego dowodem Naomi Novik.

Tytuł oryginału brytyjskiego to tylko *“Temeraire”*, Amerykanie zaś dodali do niego jeszcze *“His Majesty’s Dragon”*. Polskiego oficjalnego tytułu jeszcze co prawda nie ma¹, ale taka wersja wydaje mi się najlogiczniejsza, co jednak uwzględniając praktyki tłumaczeniowe naszych wydawców, niekoniecznie musi oznaczać, że ostatecznie będzie właśnie taki. Tak czy inaczej, *“Smok Jego Królewskiej Mości”* to całkiem przyjemna lektura. Taka do przeczytania i zapomnienia.

A pomysł Novik jest stosunkowo prosty i atrakcyjny. Oto bowiem smoki, te mityczne groźne istoty rodem z legend, naprawdę istnieją. Mało tego, odkąd Rzymianie je oswoili, stały się nieodłącznymi towarzyszami ludzi, wykorzystywanymi głównie do różnorodnych działań o charakterze wojskowym. A jak dodać do tego atrakcyjny historyczny okres z dziejów świata, czyli czas wojen napoleońskich, to istnieje szansa na stworzenie interesującej mieszanki, która zapewnić może dobrą zabawę. I to nawet jeśli smoki Novik nie są w stanie dorównać tym stworzonym przez Le Guina.

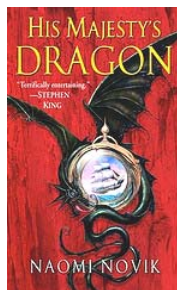
Dowódca okrętu wojennego, kapitan Will Lawrence wraz z załogą przejmują w okolicach Madery francuski transportowiec z wyjątkowo cennym ładunkiem – smoczym jajem bliskim wyklucia. A trzeba wiedzieć, że w świecie wykreowanym przez Novik, smoki muszą tuż po wykluciu zostać oswojone przez człowieka, który wiąże się przez to z nimi do końca życia. Oficerowie typują spośród siebie jednego wybrańca, który z nowowyklutym smokiem zostaną dożywotnimi partnerami, ale młody gad wybiera samego dowódcę... I tak to się wszystko rozpoczyna.

Novik nie dostarcza hiperinteligentnej rozrywki, niemniej jednak jest to całkiem udany debiut, w którym udało jej się połączyć ciekawy pomysł z niezłym warszatem. Dzięki temu, pomimo generalnego braku jakiś częstych dynamicznych zdarzeń, całość czyta się szybko i z zainteresowaniem. Przyznam, że trochę nieznośna jest maniera nadawania postaciom jednoznacznego zabarwienia już na samym początku i trzymania się tego przez całość lektury, bo przynajmniej w warstwie personalnej troszkę wieje nudą - jak dla mnie przydałoby się trochę więcej zmienności. Tym niemniej, Lawrence pomimo swojej niezmiennie sztywnej, archetypicznej wręcz, postawy brytyjskiego dżentelmena potrafi być interesujący. Szczególnie objawia się to w rozwoju jego związku (bez żadnych podtekstów) z Temeraire, który szybko staje się głębokim uczuciem łączącym obie te postaci. Sam Temeraire zaś, młodziutki smok o dużych gabarytach i dziecięcej ciekawości świata i równie wielkiej naiwności jest po prostu... uroczy. Pomimo tego, że toczy się w książce wojny, a ludzie giną, dzięki Temeraire i przyjaźni łączącej go z Lawrence'em, wydaje mi się, że jest to bardzo dobra książka dla młodszych czytelników. Zwłaszcza, że pisana przystępnym językiem. No i te sceny podniebnych walk, a zwłaszcza francuskiej inwazji na Anglię... W sumie to nie dziwię się, że Jackson zapragnął powieść sfilmować.

Jednym zdaniem, jest lekko, łatwo i przyjemnie, ale tak też miało być. *“Smok Jego Królewskiej Mości”* to dobra książka na odpoczynek, ale też jednokrotne czytanie.

Maciej Majewski
www.maciejmajewski.pl

Naomi Novik *Smok Jego Królewskiej Mości*. Tłum.: Paweł Kruk. Wyd.: Rebis. 352 stron
Tytuł od redakcji



¹ Recenzja była opublikowana na stronie autora 30 listopada 2006 r.

Inaczej, niżby się zdawało...

Antoni Słonimski, *Dwa końce świata*
Warszawa 1937
Wydawnictwo J. Przeworski.



Kiedy w latach trzydziestych okazało się, że zapowiadany przez modernistów kataklizm solarny wciąż nie nadchodził (świetnie skomentował to jeden z bohaterów przedwojennej komedii pt. *Trójka hultajska*). Zapytany o strach przed nadejściem komety, któremu wielokrotnie dawał wyraz, odparł: *Panie, zanim kometa ogonem machnie, człowiek już się dzieci dochowa*), zaś Azjaci nie kwapią się, by najechać Europę, twórcy fantastyki zwrócili się ku współczesności, odnajdując w niej inspirację do kreowania wizji zagrożenia faszyzmem. Co znamienne, konieczność dziejowa lub przypadek zastąpione zostały odpowiedzialnością konkretnej jednostki, o władniętej żądzą władzy. Tak dzieje się m.in. w powieści Antoniego Słonimskiego *Dwa końce świata*.

Bohater utworu, w trakcie audycji nadawanej z prywatnej rozgłośni, wygłasza komunikat, w którym informuje o zamiarze zniszczenia ludzkości. Jest to niezbędne dla stworzenia nowej cywilizacji, opartej na karności i surowym wychowaniu. Zaczątkiem nowej społeczności miała stać się kolonia lapońskich dzieci, którą Retlich zorganizował w swojej duńskiej posiadłości w Ruben. Zgodnie z zapowiedzią niszczy ludzkość, by móc rozwinąć własną społeczność. I ona jednak upada na skutek buntu Rubenitów mordujących swego przywódcę. Początków rebelii należy upatrywać w reakcji jednego z bohaterów powieści – Yara – na widok Ziny. Cyganka, przywieziona przez Emericha, pomocnika Retlicha, z Włoch, tańcząc przed Rubenitami, zafascynowała ich. Przerwanie przez Retlicha tańca wzbudziło niemy protest części kolonistów. Pod osłoną nocy uciekają oni na wschód kontynentu, docierając do Warszawy. Na ulicach miasta dochodzi do starcia, podczas którego Retlich ginie. Zwycięscy zwolennicy Yara odchodzą na zachód, pragnąc stworzyć własną cywilizację. Nie są jednak zdolni do „uwolnienia się” od wpływu nauk Retlicha na jej kształt. Rozwiązana w ten sposób fabuła prowadzi do smutnej konstatacji Słonimskiego, że każde rozpoczęcie „od nowa” jest równoznaczne z „jak dawniej”. Nie ma innej ucieczki przed ułomnością cywilizacji, niż w kolejną ułomność, można by rzec za Gombrowiczem.

Tym, co interesuje Słonimskiego, jest odpowiedź na pytanie o kształt świata po rozpadzie dotychczasowej cywilizacji. Jaki on będzie, skażony ideami Retlicha? Czy nowy przywódca Rubenitów, Yar, zdoła uwolnić się od wpływu nauki swego byłego mistrza, czy też sam zmieni się w nowego Retlicha?

Nie sama zagłada cywilizacji i losy człowieka po kataklizmie stanowią obiekt refleksji autora *Dwu końcu świata*. Interesuje go raczej przyszyły kształt świata po klęsce, która zdawała się totalna: świat, spustoszony kolejnymi próbami zadekretowania „utopii ostatecznej” (upostaciowanymi jako tytułowe końce świata) mógł zaoferować swemu mieszkańcowi jedynie groteskową wizję nadziei na odrodzenie. Czyż bowiem Szwalba, pozostający w opustoszałym mieście, otoczony dziełami sztuki i książkami, nie jest postacią groteskową? I czy groteskowe nie są „kolorowe aeroplany”, których wyczekuje z niezachwianą wiarą szaleńca? Tak oto kończy się świat, chciałoby się rzec, nie w błysku apokaliptycznej pożogi, lecz przy wtórze bicia serca ostatniego mieszkańca opustoszałego miasta.

Adam Mazurkiewicz

muzyka = fantastyka = fantazja



BUKIET ABSYNTU, CZYLI TAJEMNICZA MELODIA

Chciałbym jeszcze przez pewien czas pozostać w klimacie fortepianowej poetyki, delektować się jej smakiem i aromatem, urokiem i duchem, a to za sprawą monsieur Erika Satie, którego muzyka przykuwa moją uwagę od niepamiętnych już lat; artysta pełną gębą, ekscentryka i prowokator, przez niektórych uważanego za błazna i kabotyna, przez innych zaś za geniusza. Jedno w tym, naprędce skreślonym, portrecie natomiast jest pewne: Satie swoimi muzycznymi wizjami zdołał zainteresować nie tylko Igora Strawińskiego i Jeana Cocteau, ale i samego Claude'a Debussy'ego, który, notabene, obdarzył go wielką, doznogną przyjaźnią i zainspirowany, ba, zachwycony nimi nawet, kontynuował je i rozwijał. Choćby już przez sam ten fakt należy się panu Satie baczniejsza uwaga z naszej strony, jako prekursorowi impresjonizmu w muzyce. A i ja sam, jako się rzekło, słucham go już od lat i pozostając pod nieustającym urokiem jego dziwnych, oniryczno-hipnotycznych fortepianowych fantazji, byłbym skończonym totrem, gdybym teraz nie podzielił się nimi z miłośnikami fantastyki.

Mam zatem propozycję, abyśmy cofnęli się w czasie i przenieśli do Paryża sprzed stu lat z maleńkim ogonkiem.

Oto ostatnie lata XIX wieku, zadymione wnętrza „Chat Noir” („Czarnego Kota”), jednej z licznych knajpek na paryskim Montmartrze, siedziby kabaretu o tej samej nazwie. We wnętrzu w pierwszym momencie niewiele można dojrzeć, powietrze przesłania bowiem gęsta mgła papierosowego dymu, a nad głowami wisi i atmosferę dodatkowo zagęszcza woń piołunowo-aniżowego bukietu absyntu. Oczom naszym ukazuje się prawdziwie impresjonistyczny obrazek: całość spowija miękkie światło, przy stolikach lekko rozmyte we mgle postacie, pochylone nad szklaneczkami mocnego trunku, pochłonięte rozmową i paleniem tytoniu. Kiedy wzrok, przezwyciężając gryzący dym, zaczyna wreszcie powoli do tego wszystkiego przywykać, poprzez mgłę dojrzeć pozwala stojący w kącie pod oknem fortepian, tuż obok wielkiej donicy z kwiatami. Na fortepianie, ponad klawiaturą, lekko kotysze się w ciętym szkle jasnozielony, piołunowy likier. Spowity niebieskawym obłoczkiem z trzymanego w zaciśniętych zębach papierosa tajemniczy gość z bródką w szpic i w binoklach na nosie, w nonszalancko przekrzywionym cylindrze, zsuniętym z czoła ku tyłowi głowy, z czuciem kładzie dłoń na klawiaturze. Ów ekstrawagancko ubrany i także zachowujący się młody jegomość nie wyróżnia się jakoś specjalnie spośród tłumu otaczających go postaci. Takich jak on jest tu więcej, choć on jest w tej chwili najważniejszy. Zwłaszcza, kiedy gra. Mamy szczęście, że trafiliśmy akurat na ten moment, możemy więc i my w jego muzyce zasmakować i w niej się rozsmakować.



Delikatne fortepianowe dźwięki, przybrane w nieskomplikowane akordy, wolno i cicho płyną, unosząc się ponad głowami. Wianuszek adoratorów talentu tajemniczego gościa w binoklach otacza go ciasnym kręgiem. Mętny wzrok wlepiają w sufit, słuchają. Ten i ów w zadumie i zastłuchaniu wypuszcza kącikiem ust kłębuszek niebieskiego dymu i puszcza w ślad za ulatującymi nutami. Być może są właśnie świadkami narodzin muzyki do baletu „Usbud”, a może to kolejna miniatura z magicznego cyklu „Gnossienne” rodzi się na ich oczach. Tego akurat nie wiemy i nigdy się już nie dowiemy, czas ukrył to przed nami bezpowrotnie, ale na szczęście, nie ma to dla nas większego znaczenia.

Tymczasem monsieur Satie, bo on to właśnie, we własnej osobie, zasiada przy fortepianie, z namaszczeniem celebrytuje swoje dzieło: spokojna, leniwa wręcz, linia melodyczna – całkowite zaprzeczenie pojęcia wirtuozerii – prosta i jakby trochę szorstka niczym uliczna piosenka, zbudowana na dziwacznej mieszaninie durowo-mollowej, to jakiś niespotykany ekstrakt tonacji, wymysł samego pana Satie. Wciąż jednak urzeka i porывa wewnętrznym pięknem. Słuchacz doznaje dziwnego uczucia; na pierwszy „rzut ucha” niby nic szczególnego, ot, po prostu ładna melodia. Ale zaraz, zaraz, dlaczego ja nie mogę przestać jej słuchać? Co to znaczy? Co ona ze mną wyprawia?...



„Melodia nie ma swojej harmonii, jak pejzaż nie ma swojego koloru – pisał Satie. – Melodia jest ekspresją w ekspresji (...) ideą, konturem, zaś harmonia jest oświetleniem, ekspozycją przedmiotu, jego odbłaskiem”. Emanuje więc swą

wewnętrzna energią, działa jej tajemniczy magnetyzm i nie pozwala tak po prostu od siebie odejść, absorbuje, ale dopiero teraz, po upływie chwili do świadomości słuchacza dociera, jak jest nietypowa i jak trudny do określenia stan psychiczny u niego wywołuje. To, co daje się wysłuchać z poszczególnych fraz każdej z kompozycji, jest jakimś dziwnym splotem melodyjno-nastrojowym, tajemniczym przekazem podprogowym, lecz nie groźnym, a zniewalającym, wywołującym u słuchających uczucie nienazwanej dziwności. Słuchacza ogarnia błogi spokój, cisza i poczucie wewnętrznej harmonii. To „Gymnopédie I”. Piękno i tajemnica w jednym.

Smutna i zamyślona melodia, stylizowana miejscami na orientalne harmonie, nagle i niespodziewane nutki, czy to będące dziełem przypadku, czy może precyzyjnego założenia, nieważne, są jak sceny dziejące się we śnie, kierowane zaskakującym następstwem epizodów, nie powiązanych ze sobą żadnym logicznym związkiem przyczynowo-skutkowym, dla których jeden jest wspólny mianownik – fakt, że dzieją się właśnie we śnie. I tak wpadają w partytury czarne kropelki nut, jedna za drugą, różne i niespodziewane tworząc akordy, układy i struktury, zaskakujące harmonie, by już po chwili ustąpić miejsca następnym, płynąc wolno i majestatycznie, a tak miejscami sennie, że co poniektórym mrużą się oczy. Linia melodyczna wznosi się ponad głowami, przebija ponad tytoniowo-piołunową mgłą i przenosi słuchających hen, w nieznane krainy. Pozwala im marzyć i śnić, hipnotyzuje, a przenikając do krwi, utrzymuje czas jakiś w stanie permanentnego zauroczenia. I nie jest to bynajmniej efekt działania „zielonej czarodziejki” zmieszanej z tytoniowym dymem, a wyłącznie siła i czar muzyki.

Wyrosła jako swoista przeciwwaga dla romantycznej uczuciowości spod znaku Ryszarda Wagnera i jego wizji muzycznego teatru, przeładowanego przyciężkawym brzmieniem i fajerwerkami środków wyrazu, miała być antidotum na romantyczne poplątanie formy i treści, proponując w zamian balsam prostoty, wyciszenia i minimalizmu tak formy, jak i treści. „Muzyka nie powinna być niczym innym, jak dywanikiem, który nagle zaczyna drzeć z mistycznej delikatności i wewnętrznej dobroci” twierdził kompozytor. Czy to nie piękne? A więc sama z siebie, swą wewnętrzną mocą, lekko utykającym rytmem i dziwaczną harmonią utkała te wszystkie najdelikatniejsze, wymyślne wzory z owego dywanika – inteligentne następstwo akordów, które są w stanie naprawdę mocno zamieszać w głowie. A kto ją choć raz usłyszał, ten już jej tak łatwo nie zapomni.

Na początek wystarczy lektura tytułów kompozycji Satiego, by się pierwszy raz zdziwić, muzyka zaś dopełni reszty: „Trzy utwory w formie gruszki”, „Muzyka mebli”, „Preludium – Heroiczna brama niebios”, „Syn gwiazd. Inicjacja”, „Utwory zimne”, „Zasuszone embriony” czy najwcześniejsze, mistycznie wyciszone miniatury fortepianowe „Gnossiennes” i „Gymnopédies” tę dziwaczną wyliczankę kończą. Lista oczywiście nie ma porządku chronologicznego, a jedynie przypadkowy, podyktowany wyłącznie przez moją wyobraźnię, ani też nie wyczerpuje dorobku kompozytorskiego Erika Satie, lecz już z samej tylko powyższej lektury jawi się naszym oczom twórczość nieodrodna od epoki, która ją wydała, zrodzona z ducha francuskiego fin de siècle’u i moderny, ducha myśli wolnej i szalonej, odważna i bezkompromisowa. Artystyczna więź, jaka połączyła w pewnym momencie życia Satiego z Jeanem Cocteau, czyli – krótko mówiąc – z mikrokosmosem teatru, a w dalszej konsekwencji z Sergiejem Diagilewem, kierownikiem słynnego rosyjskiego baletu, a wkrótce potem także i z Pabłem Picassem, którego, myślę, przedstawiać specjalnie nie trzeba, zrodziła dzieła tyleż nieprawdopodobne, co nie do przyjęcia przez zdecydowaną część i tak już wyrozumiałej i pobłażliwej, przyzwyczajonej do nowości, paryskiej widowni. Dziwny świat onirycznych eksperymentów dźwiękowo-wizualnych, spektakle ruchu, słowa i dźwięku podzieliły na długi czas opinię publiczną.

I choć do dnia dzisiejszego próbie czasu oparły się jedynie utwory zdawałoby się najbardziej ulotne i kruche, bo wspomniane już miniatury fortepianowe, to pamiętać wypada o całości zjawiska, jakiemu na imię Satie. A według mnie, najbardziej poruszający w twórczości tajemniczego wizjonera znad Sekwany jednak pozostaje fakt,



że wskutek nowego sposobu myślenia, wynikającego z patrzenia na świat dźwięków z perspektywy teatralnej sceny i zupełnie nowych, bo nowoczesnych środków wyrazu, Erik Satie pierwszy odważył się umieścić w partyturze dźwięki pozamuzyczne, takie jak sygnały klaksonów samochodowych, strzały z pistoletu i tym podobne cudactwa, przyznając im prawo współistnienia na równi z instrumentami muzycznymi czy głosami śpiewaków. Może z dzisiejszej perspektywy nie

robi to większego wrażenia, nie ekscytuje tak i nie bulwersuje, a nawet trąci manierą z pogranicza kiczu, to jednak siła i trudny do zdefiniowania urok owych eksperymentów ma w sobie coś zwodniczego i wzruszającego zarazem, coś z niepokoju magii i niezaprzeczalnego wdzięku dziecięcej naiwności. Bez takich doświadczeń współczesna sztuka pewnie wyglądałaby nieco inaczej.



Nieskrępowana wolność wyobraźni, jaka przypadła w udziale osobowości Erika Satie, jak i nietuzinkowe poczucie humoru na końcu ciętego języka, czyniły zeń artystycznego prowokatora i mistyfikatora, z którym nie zawsze wiadomo było, co zrobić. Co w nim służyło tajemnicy prawdziwej sztuki, a co zwyczajnej bładzie i tworzeniu jedynie aury niezwykłości wokół własnej twórczości, do końca nie wiadomo. Szczególnie urzekające jest dla mnie to, w jaki sposób wprowadzał otoczenie w błąd, mącił, żartował, zacierając granice między sztuką a pozytywnym wariactwem, coś na kształt naszego Witkacego. Ot, choćby przykład słynnego afisza z premierowego spektaklu jego baletu „Relâche” („Nieczynne”), kiedy to zdezorientowana publiczność, zgromadzona przed wejściem do gmachu opery, zastała drzwi zamknięte i zawieszoną na gwoździu tabliczkę z napisem... „Nieczynne”.

Nie to było jednak najważniejsze. Nad całą otoczką misternie tkanych błazeństw i dziwactw dominowała zawsze i przede wszystkim muzyka. Zdumiewające, jaka ona jest prosta! Prosta, lecz nie prostacka. Gdyby przystawić do niej szkielek muzykologa analityka i bliżej się jej przypatrzeć, to co byśmy tam zobaczyli? Niewiele. Ani śladu skomplikowanych konstrukcji, wyrafinowanych harmonii, a już, broń Boże, taniego efekciarstwa. Znajdziemy natomiast wręcz ascetyczne ubóstwo i prostotę, jakby, tu użyję porównania do wypowiedzi słownej, były to niezwykle, intrygujące myśli wypowiedziane krótkimi zdaniem, za pomocą prostych, a pięknych słów, nastrojowe wstępy do dziwnych baśni, urwane w pół słowa. Takie sprawiają wrażenie: jakby były bez pointy, naszkicowane preludia do dalszej, skończonej już formy, lecz owo oczekiwane „dalsze” nigdy nie miało nastąpić. Dalej jest już tylko cisza. Cisza po niezwyklej, delikatnie „wyszeptanej” muzyce. I to jest, wydaje mi się, sednem jej niezwykłości, kluczem do sekretu wielkości. Nie zawsze bowiem artysta musi wypowiedzieć swoje zdanie do końca, czasem wystarczy, że powie jedno słowo, poda ton, nastroi instrumenty, a dalej pójda inni.

Opowieść Satiego kończył Debussy. A tym końcem zaczął nowy rozdział w historii muzyki. Współczesność.

Andrzej Habasiński

od REDAKCJI:

To na razie ostatni tekst w tej muzyczno-fantastycznej rubryce.

Jednak jej Autor ma jeszcze sporo pomysłów - i na pewno, niczym Terminator, powróci!

ps.

Stanowczo też oświadczamy, iż czasowe zawieszenie rubryki dla melomanów nie ma nic wspólnego z faktem niezłożenia przez jej Autora oświadczenia lustracyjnego...

TRAGEDIA WAGONOWA

Wywiad z Januszem Rajcesem, rzecznikiem wrocławskiego MPK

- **Dlaczego pasażer Waszego tramwaju nie może przesiąść się z wagonu do wagonu?**
- Może, tylko musi skasować drugi bilet.
- **Jak to? Przecież nadal jedzie tym samym tramwajem i ma bilet.**
- Regulamin przewozowy mówi wyraźnie: bilet jest ważny w tym wagonie, w którym został skasowany.
- **Przepis przepisem, ale staram się zrozumieć jego sens. Tak naprawdę, dlaczego nie mogę zmienić wagonu?**
- Przebiec na czerwonym też pani może, tyle że ryzykuje pani wypadkiem albo mandatem. A tutaj ryzykuje pani, że złapie ją kontroler.
- **Ale przechodzenie na czerwonym świetle jest niezgodne z prawem, a przesiadanie się z wagonu do wagonu nie.**
- Jakby się ludzie tak przesiadali, to kontrolerom byłoby trudno pracować.
- **Czyli wygoda kontrolerów ma być argumentem?**
- Argumentem jest przepis. A poza tym, jeśli kupuje pani bilet na pociąg, to, chociaż do Gdańska jedzie i 15.30, i o 18.15, to pani ma bilet tylko na ten o 15.30.
- **Przepraszam, ale tylko jeśli to miejscówka, a u nas jakoś ich nie ma.**
- A po co w ogóle się przesiadać?
- **Przecież są sytuacje, kiedy trzeba się przesiąść, na przykład gdy w naszym wagonie jadą pijani, agresywni ludzie.**
- O tak, uciec jest najprościej, a przecież trzeba zainterweniować.
- **Szczególnie gdy się jedzie na przykład z małym dzieckiem?**
- Nie ma powodu, by zmieniać wagon. Można podejść do motorniczego, a on już wie, co robić.
- **Ale przecież w drugim wagonie nie ma motorniczego...**
- No właśnie, on przestrzega przepisu. Nie ma go w drugim wagonie, bo nie może przejść, gdyż też musiałby skasować bilet.
- **To jak interweniować, jeśli jest się w drugim wagonie, w którym nie ma motorniczego?**
- Przejść do pierwszego i skasować bilet...
- **Skasować bilet?!**
- Oczywiście. Przepis jest wyraźny.
- **Czy motorniczy przejdzie do drugiego wagonu i interweniuje?**
- Jeśli skasuje mu Pani bilet, to tak.
- **Ja mam kasować bilet za motorniczego?!**
- Oczywiście, przecież mówiłem Pani, że motorniczy nie przechodzi, bo musiałby kasować bilet. Jeśli chce Pani interwencji, to musi Pani mieć dodatkowy bilet dla motorniczego, a najlepiej dwa, żeby mógł wrócić do pierwszego wagonu.
- **A po co będzie jeszcze przechodził?**
- Jak to po co ? Ktoś musi kierować tramwajem!
- **To nie może po prostu przejść jak człowiek?!**
- Proszę Pani, przecież przepis wyraźnie mówi, że bez skasowania dodatkowego biletu nie można przechodzić... Poza tym motorniczy to nie jakiś człowiek, a motorniczy. To zasadnicza różnica!
- **Wie Pan, to ja wolę zostać w tym pierwszym wagonie i nie interweniować...**
- No widzi Pani, od razu mówiłem: po co przechodzić i robić zamieszanie...

LUDZIE-WIERTARKI

Tak, tak, oni są wśród nas. Gdy nagle w sobotnio-niedzielnej ciszy usłyszysz oguszający mechaniczny ryk wiertła czy mantryczne stukanie młotka, to wiesz, że to właśnie Oni. Kim są? Czy zaginionym ogniwem, którego powinniśmy szukać zamiast neandertala? Oni. Są wśród. Nas. Paralelnie żyją.

Kryją się jako szare chwasty. Hydraulicy, hycle, szamponiści. Filistrowie słowem. Czasem podążają za swoją naturą i lęgną się we wszelakich zakładach czy warsztatach. Swoje gody, pieśni czy rytuały maskują pod przykrywką remontów.

Ich trele także się różnią, zależnie od sytuacji – krótkie urywane ryki ekstazy czy powolne pomruki, gdy czochrają grzbiet, na podobieństwo wałacha, o ścianę nośną. Lub radosne śpiewy pod prysznicem, które przyjmujemy za gadatliwe rury. Ci nosiciele prądziweków, wrogowie samogłosek, są wśród nas. Ewolucja języka ich nie dotknęła, ba! Ominęła szerokim łukiem, z wyrazem niesmaku na twarzy.

I tak długo trwali w swojej zapyziałej i stęchłej rzeczywistości, że dane im było spotkać swych młodszych braci. Twory ludzi, którzy może w ten sposób próbowali okiełznać swe lęki, jakimi w czasach walki o ogień napawały ich nocne nawoływania Warkotników, Stuczków i Łomotków.

Spotkali maszyny – wiertarki, frezarki, szmergle i całe to plugawe plemie.

Ochoczo połączyli swe linie krwi (no, dokładniej – krwi i smaru), ku chwale warkotu!

A może wcale nie są atawizmami ucieleśnionymi? Może to właśnie nowe ogniwo łańcucha ewolucji, sprzężenie ludzka i wiertła? Młotkopalcego imadła białkowego? Takie podejście na pewno zjednałoby im wielu przyjaciół – Inteligentny Projekt miałby w końcu dowód, że kosmici porywają ludzi z jakimś zamysłem, i że te wszystkie wwiercające się sondy analne to nie jakieś ich tam fanaberie czy egzotyczna forma powitalna.

Póki co, sieją strach i zniszczenie w sobotnio-niedzielnym godzinach relaksu.

Maciek Wiktor



GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.art.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

OKŁADKA: Michelangelo Miani

GRAFIKI: Piotr Terszel (3, 4, 19)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

218

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji